

# REFORMA.

№ 13.

Sanok, 3 marca 1869.

Rok I.

## Propinacya.

### I.

Jak mara senna o mglistych kształtach majaczyła w głębi spraw krajowych kwestya propinacyi — a ilekroć wychyliła się z ciemnej głębi, tylekroć cofała się widokiem jęj przerażona reprezentacya kraju. Wszakże i postęp i dobro ekonomiczne kraju domagały się koniecznie załatwienia téj kwestyi — i tak nakoniec wyprowadza ją na jaw enkietą w postaci już wyraźnej — bo spaczonéj i skoszlawionéj.

W sprawozdaniu swojém oświadczyła się enkietą za tém, aby propinacyę kraj wykupił.

Mile to brzmi dla ucha: Krajową rzecz kraj kupuje — lecz mile to brzmienie wcale inaczej zabrzmie w kieszeni kraju. Trzy proste pytania są przy wszelkiém kupnie: 1) Kto kupuje. 2) Od kogo kupuje. 3) Za co kupuje.

Kupuje tedy kraj. Kto to jest w tym razie „Kraj“? Naturalnie officyalna reprezentacya kraju, to jest prowincjonalny sejm królestwa Galicyi i Lodomeryi. Od kogoż kupuje? Od właścicieli ziemskich i od gmin miejskich — to jest od tych, których sejm ten po największej części reprezentuje. To, coś tak wygląda, jak gdyby pełnomocnik kupował od swego mocodawcy w imieniu i z polecenia tegoż mocodawcy. Zbyt to subtelne dla naszego rozumu prostego — fikcyja transcendentalna, jakby godło całej téj operacyi. A pytanie, za co kupuje? Słyszeliśmy tyle wśród sejmu, że kraj nie ma pieniędzy, słyszymy to i czujemy ciągle poza

sejmem — a tu oto pokazuje się, że są pieniądze na „antrepryzy“ spekulacyjne.

Spekulacya, jak wiadomo, jest to wydobywanie zysku z wszelkich koniunktur — zysku jak największego i kosztem jak najmniejszym. Zmysłu spekulacyjnego, a raczej chęci zmysłu spekulacyjnego, twórcom owój propozycji odmówić nie podobna; chcieli by wydobyć zysk z téj koniunktury obecnej, że trzeba już raz załatwić kwestyę propinacyi. Zysk dla kogo? Naturalnie dla kraju. I znowu pytamy: Kto jest krajem — w téj sprawie? Wybrani przez kraj reprezentanci jego — sejm krajowy. — Tak, to teraz, dzisiaj — a jutro? Jutro kto nim będzie, jeżeli sejmu nie stanie? w kraju, stanowiącym część monarchii, podlegającej centralnemu rządowi Wiedeńskiemu, kto nim będzie? W czyje ręce przejdzie zysk z téj spekulacyi. Dzieło to téj saméj mądrości, z której wyszła organizacya Rady szkolnej, ta organizacya, na mocy której terażniejszy pan *Statthaltereileiter* zrobił podział Galicyi — bo organizacya ta obliczona była na to, że hrabia Gołuchowski zostanie przewodniczącym Radzie szkolnej po wszystkie czasy — bo przecież nie może przestać być namiestnikiem. I gdyby kto był zaproponował, aby przewodniczącemu namiestnikowi oddać moc życia i śmierci nad wszystkimi członkami Rady szkolnej, z uniesieniem była by propozycya ta została przyjętą. Otóż jest i dzisiaj w zupełności organizacya Rady szkolnej ta sama, którą witano z takim uniesieniem; nie się w niej nie zmieniło, tylko obok niej stanął zamiast hr. Gołuchowskiego pan Possinger. Jeżeli twórcom propozycji ankietowej odmówić nie można zmysłu spekulacyjnego czy téż chęci spekulacyjnej — tak znowu zdaje się, jako by nie wiedzieli o téj prawdzie prostej, że przyszłość nie buduje się na osobach lecz na instytucyach — że, co ma być trwałem i mocno opartem, to nie powinno się opierać na koniunkturach politycznych, co chwila się zmieniających, ale na stosunkach jak najmniej zależnych od owych koniunktur — że więc zysk z propinacyi sposobem wskazanym nie będzie tak zabezpieczony krajowi, aby wśród wszelkich koniunktur pozostał rzeczywiście w ręku kraju — z sejmem czy bez sejmu.

Od kogo zaś ma propinacya być kupiona? czyli innemi słowy: Na kim ma zyskać zamierzona ta spekulacya? — bo już téż



ze stratą a choćby tylko bez zysku — co ze stanowiska spekulacyi także strata, ankietą krajowi kupna nie doradzi. — Na właścicielach ziemskich i na miastach znaczniejszych, to jest na produkcji ziemskiej i przemysłowej, a więc na głównych źródłach zamożności krajowej. Tak tedy, aby kraj zyskał pewną sumę, nadwątłone i uszczerbione być mają źródła, z których jedynie płyną i płynąć mogą krajowi wszelkie sumy, ubytku doznać mają źródła ruchu narodowo ekonomicznego w ogóle — dla korzyści chwilowej a niepewnej narażoną być ma pewna i długotrwała korzyść przyszłości.

Jeżeli zatem dowodzić nie potrzeba, że siła produkcyjna kraju, ziemska i przemysłowa o tyle dozna ubytku, o ile zyska „kraj“, tedy jeszcze większym okazuje się ten ubytek, większą staje się rzeczywista strata dotychczasowych właścicieli prawa propinacyjnego przez środek wymienny przy tém „kupnie“, czyli innemi słowy przez pieniądz, którym kraj ma płacić za to kupno. Tu już spekulacyjna entrepryza nie potrzebowała się silić na wymysły, miała już model całkiem gotowy — pieniądz, jakim rząd płacił indemnizację za pańszczyznę — papier. Czy potrzeba wzmiankować, że papier taki to nie pieniądz w znaczeniu właściwem, lecz towar, za który dają raz mniej a drugi raz więcej. Jeżeli sprzedają coś za 100 złr. i otrzymują za to papier, na którym wprawdzie napisano 100, lecz który w obiegu znaczy tylko 70, 60 lub 50 złr. — czyż otrzymałem w takim razie rzeczywiście cenę kupna? A kupony, cóż to znaczy? Wszakże to nie jest uzupełnienie kapitału, jaki mi się należy, lecz tylko procent od kapitału, który się sam przez się rozumie, a który najczęściej jest bardzo szczupły, a w rzeczywistej wartości swojej także podlegający wszelkiej fluktuacji handlu papierowego — tak, że mając taki papier, właściwie nigdy nie wiem z pewnością, ile mam. Jeżeli zaś pragnę uzupełnić brak powstający z różnicy pomiędzy wartością papieru nominalną a rzeczywistą, muszę z nim puścić się na spekulację giełdową — to jest na loteryę, na której, jak zwykle na loteryi, zyskać mogę lub stracić. Pomijając więc na teraz wszystkie inne względy, pytamy tylko, czy to jest zapłata rzeczywista, jeżeli mi płacą towarem, z którym muszę dopiero rozpoczynać handel, a właściwie spekulację, a więcłożyć czas i zabieg na to, abym dostał jakiś

pieniądz rzeczywisty, a nigdy prawie tyle, ile dostać miałem według ugody.

Papier pieniężny, to weksel, który znaczy tyle, ile za niego dają — a dają za niego tyle, ile finansowej mocy do rzeczywistej wypłaty weksłu przypuszcza się w tym, kto go wystawił. Papier, jakim rząd austriacki płacił Galicyi za pańszczyznę, kursuje w państwie austriackiem przeciętnie jako wartość 65% sumy nominalnej. Lecz tę wartość otrzymuje się w banknotach, to jest weksłach wiedeńskiego „Banku narodowego“, które znowu w obec pieniędzy rzeczywistych, w obec monety kruszcowej o tyle mniej mają wartości, o ile wynosi procent za wymianę tych banknotów na gotówkę, t. j. o ile wynosi agio — tak, że wartość rzeczywista obligacyi indemnizacyjnych galicyjskich jest mniej więcej połowa wartości nominalnej. Jeżeli więc papier ten, którego podstawą jest moc finansowa rządu a mianowicie moc podatkująca wszystkiej ludności Galicyi, taką tylko ma wartość rzeczywistą — jakiejże wartości, jakiego przyjęcia w spekulacyi spodziewać się może papier, którego podstawą jest tylko moc propinacyjna kraju? A jeżeli papier tamten takiej tylko doszedł wartości w czasach, gdy nie było na giełdzie takiej konkurencyi papierów, jakiejże wartości dojść może papier propinacyjny galicyjski dzisiaj, gdy giełda zarzucona papierami?

Jak więc problematycznym jest zysk dla „kraju“ z tego zakupienia: tak bardziej jeszcze problematycznym zysk z sprzedaży téj dla właścicieli propinacyi. A że według zdania naszego ogół tych dotychczasowych właścicieli propinacyi bardziej jest krajem, aniżeli oficjalna tegoż ogółu reprezentacya — bo jestto ogół większych producentów ziemskich i przemysłowych — więc bardziej nas dotyka dobro tego kraju rzeczywistego, aniżeli dobro tamtego kraju fikcyjnego.

Zakupiwszy propinację w całej Galicyi stanie się „Kraj“ właścicielem jęj wyłącznym. Prawo propinacyi niezgodne z duchem czasu, z postępem, z wolnością etc. etc. To głos powszechny — i ten coraz mocniej odzywający się głos powszechny był pobudką a raczej przymusem moralnym do poruszenia téj kwestyi w sejmie i do ustanowienia ankiety. Rozprawiać nad tém nie ma co, jest to monopol — a więc negacya prawa w ogóle, a oraz



negacya rozwoju ekonomicznego — usunąć więc należy. Lecz w jakiż to sposób monopol ten ma być usuniętym? Oto w sposób taki, że na miejsce monopolu wykonywanego przez wielką liczbę osób, staje osoba jedna, a nadto fikcyjna, „Kraj“ — i podczas gdy dotąd właśnie w skutek wielkiej liczby osób ten monopol wykonywujących utrzymuje się oraz pewna konkurencya: odtąd monopol ten będzie całkowicie w ręku osoby jednej — to jest, na miejsce monopolu, by się tak wyrazić, zbiorowego, połączonego z pewną konkurencją, stanie monopol zcentralizowany, wykluczający wszelką konkurencję — dyktatura nieograniczona w dziedzinie propinacyi. Nie kijem, to pałką.

Objąwszy propinację, będzie ją „Kraj“ administrować. Mniejsza o to, czy będzie administrować sam, czy też przez dzierżawców; zawsze administracya dochodu, z natury swojej bardzo zmiennego i ruchliwego, i płynącego niezliczonymi drogami, wymaga oraz i administracyi bardzo ruchliwej i na wszystkich owych drogach niezliczonych. To znaczy, że do administrowania propinacyi w całym kraju potrzeba będzie niezliczonego mnóstwa administratorów większych i mniejszych, urzędników rachunkowych i kancelaryjnych bez liku, i całej armii nadzorców wyższych i niższych — czyli innemi słowy, powstanie biurokracya tak obszerna i rozgałęziona, jak jej dotąd może nawet i w Galicyi nie było nigdy a według doświadczenia nie wątpić, że co do istoty jak najdoskonalsza, to jest z centralizmem, z nepotyzmem i z protekcją w formie jak najbardziej wykończonój. Winszujemy Galicyi tego nabytku!

Lecz na tém nie koniec. Biurokracya, ustanowiona do nadzorowania a więc ścisłego śledzenia konsumeyi napojowej w każdej chwili i na każdym miejscu, tém samém stać się musi wstrętą — i to właśnie téj części ludności, która jest niestety! najznaczniejszą częścią ludności krajowej, szeroką i niezbędną podstawą nie tylko konsumeyi lecz i produkeyi krajowej — to jest ludowi — a wstrętna niechęć ta przejdzie naturalnym sposobem ostatecznie na twórców téj biurokracyi — to jest na reprezentację krajową.

Reprezentacya zaś ta tyle walczyć musi z różnemi trudnościami i z niechęcią różnoraką, że pragniemy gorąco, aby przy-

najmniej walczyć nie musiała z niechęcią samowolnie sprowadzoną, z niechęcią, którąby można łatwo pojąć i wytłumaczyć!

Nie wiedzieć doprawdy, jak to nazwać całe to postępowanie. Więc stałym tematem jest narzekanie na niechęć ludu, a oto robi się to właśnie, co niechęć tę bardziej jeszcze musi pobudzać. Jako zawadę nieprzepartą w rozwoju narodowym słyszymy ciągle wytaczaną nieufność ze strony ludu, a oto nie korzysta się ze sposobności zmniejszenia tej nieufności. Nieustannie rozlégają się wykrzykniki o miłości dla tego ludu, dla braci młodszej — lecz bez dowodów ze strony braci starszej przebrzmiewają te wykrzykniki mimo uszów braci młodszej, jak szum pusty. Niechęć braci młodszej usunąć może tylko jawnie występująca chęć dobra braci starszej; nieufność zniknie tylko pod wrażeniem zaufania jasno się okazującego — a miłość wywołana być może tylko miłością objawiającą się uczynkami a nie marném słowem, a do tego słowem z uczynkami niezgodném. Rzecz stara jak świat. A czém żywsza niechęć, czém głębsza nieufność, czém większy brak miłości: tém dobitniej okazać się musi z drugiej strony szczéra chęć dobra, zaufanie rzeczywiste i miłość prawdziwa — to także naturalna.

Niechęć i nieufność długa robi człowieka pesymistą — i lud jako pesymista tak powie: Na miejsce jednego pana stanęli panowie wszyscy, aby zarabiać na propinacyi. — Jakież to szerokie pole do najróżniejszych agitacyi pokątnych, nurtujących głębie społeczeństwa i tak już w najróżniejszy sposób nurtowanego — jaki nowy temat bogaty obok tematu lasów i pastwisk!

A nia wierzymy, aby najwymowniejszy nawet obrońca propozycyi ankietowej zdołał lud przekonać, że pierwiastkiem twórczym tej propozycyi jest gorące pragnienie dobra ludu, że myśl ta powstała z wielkiego do ludu zaufania, że propozycja ta, to dzieło natchnionój miłości ludu.

A przecież, kto pragnie dobra kraju — nie fikcyę w propozycyi ankietowej ale kraju w znaczeniu jedyném, w którém wyraz ten dla nas ma znaczenie a znaczenie wielkie — ten pragnąć musi dobra ludu tego, bo bez niego nie ma kraju, nie ma narodu, nie ma społeczeństwa. Kto ma zaufanie do żywotnej siły narodu, ten mieć je musi do ludu, bo w nim największy zasób tej siły, a siły szorstkiej, surowej, bo nie spaczonój i nie uszczerbio-



nę żadną cywilizacją fałszywą, nie stoczonę żadną zgnilizną zbytku wyrafinowanego — siły przechowanę w prostocie i jedności pierwotnej. Jak lud ten utrzymał związek z przeszłością narodu, przechowując w języku i w obyczajach i w zabobonie nawet, w złem i w dobrem żywotną siłę dawno minionych czasów: tak utorował związek z przyszłością, gdyż w zdroju przechowanę w ludzie siły żywotnej narodowej wyszedł naród duchowo odrodzony i z tego zdroju wyjdzie odrodzenie wszelkie.

Ta prawda dziś już tak każdemu wiadoma, że nie potrzeba się nad nią rozwodzić. Nie potrzeba więc rozwodzić się i nad tém, że także siła żywotna ekonomiczna spłynąć może na kraj całą potęgą wtedy tylko, gdy dojdzie do potęgi rzeczywistej lud — bo wszakże i potęga ekonomiczna kraju, siła produkcyjna, mieści się głównie w ludzie.

Brak oświaty i brak środków finansowych — to brak ten, z którego w Galicyi powstaje wszelki brak inny — a ten brak tak długo trwać będzie i trwać musi, póki trwać będzie w najznaczniejszej części ludności, to jest w ludzie.

Lecz oto nadarza się właśnie sposobność zaradzenia temu brakowi — sposobność, jaka wątpię, aby się jeszcze raz nadarzyć mogła — to jest kwestya propinacyi — jednym słowem: oddanie propinacyi w ręce ludu, to jest w ręce gmin — a wówczas sprawa ta załatwioną zostanie tak, że korzyść pod każdym względem odniesie ztąd kraj w znaczeniu prawdziwem.

---

## Nafta czyli olej skalny,

przez Henryka Waltera, inżyniera górniczego.

*(Ciąg dalszy).*

Nafta we wszystkich odmianach, czy to w postaci oleju skalnego, wosku ziemnego lub asfaltu, jest zawsze połączeniem chemicznem węgla z wodorodem w różnych stosunkach. Od ilości, w materji zawartej węgla i wodorodu, zależą szczególne własności ciał.

Olej skalny sam przez się nie ma zawsze i wszędzie jednakowych fizycznych własności, zależą one od części obcych przymieszanych do niego, od skutków jakie obce ciała, mianowicie woda i powietrze, przez przeciąg czasu na niego wywierały, i od innych jeszcze warunków chemicznych i mechanicznych.

I tak: co do ciężkości gatunkowej, która się zwykłym aerometrem oznacza, ma nafta gęstość mazi, aż do cieplejści olejku.

W stosunku do promieni odbijających i przebijających, czyli co do koloru i przezroczystości, jest koloru ciemnego, nieprzezroczysta i stopniowo dochodzi aż do jasności wina.

Co do zapachu, ma woń przyjemną, żywiczną, aż do odrażającego odoru kwasu solnego.

W zastosowaniu do temperatury, są gatunki nafty nie zamarzające wśród najsilniejszego zimna — a inne nawet przy ośmiu stopniach ciepła zcinają się, tworząc galaretę.

Jedne gatunki nafty w skutek silnego wiązania lotnych części, są niezapalne, inne zaś wydzielają z siebie wiele gazów, przez co są tak zapalne, że już z oddalenia płomień chwytają.

W ogóle — każda miejscowość, każda warstwa, ma sobie właściwe gatunki; lecz kto raz olej skalny w surowym stanie widział, takowy, chociażby w najróżniejszych zmianach, łatwo rozpozna.

Naftę rodzimą nazywają okolicami różnie — i tak: ropą, kipiączką, kanfiną, dziegciem, pekurą.

Wosku ziemnego dotąd, prócz Borysławia i Wołoszczyzny, nigdzie w większej ilości nie znaleziono. Jest on koloru żółtego lub ciemno-zielonego, na powietrzu ciemniej, podobny do wosku pszczelnego nieoczyszczonego, daje 30 % parafiny i 40 % nafty do oświetlenia, gorszego atoli gatunku jak z oleju skalnego.

Rodzaj ciała, zajmującego miejsce między płynnym olejem skalnym, a stałym woskiem, został nazwany w Borysławiu „Kin-debał“. Ciało to podobne jest do wosku kiedy stygnąć zaczyna, ma woń nieprzyjemną, na powietrzu tęższe i czarniej, daje 15% parafiny, a 50% nafty lichego gatunku.

Asfalt czyli smoła ziemna jest naftą, która przez działanie powietrza i wody swe lotne części utraciła, zachowawszy tylko żywiczne i inne stałe ciała. Asfalt jest zwykle podobny do szew-



skiej smoły; lecz czasem, przez silne ciśnienie nabiera tęgości i pozoru węgla kamiennego, tak, że go tylko przy próbie nad ogniem rozróżnić można, gdyż asfalt topnieje nim się zapali.

W dalszej rozprawie damy wszyskiem tem materiom nazwę nafty.

Jak się objawia nafta na powierzchni, czyli jakie są wskazówki, na podstawie których poszukiwania rozpocząć można? Ślady nafty, w łonie ziemi zawartej objawiają się na jej powierzchni w następujący sposób:

Nafta, jako płyn o wiele lżejszy od wody, wszędzie w zetknięciu się z nią na powierzchnię jej wypływa, i czyni to tem silniej im lżejszą od wody jest. Dla tego najlepiej śladów nafty szukać w punktach najniższych, jakimi są potoki i rzeki. W takich to miejscach występuje ona zwykle na wodę i najczęściej zna je lud wiejski, jako miejsca, w których maź do smarowania wozów od niepamiętnych czasów zbierano, lub tak zwaną gośćową wodę do leków używano.

Po wielkich ulewach, kiedy silny prąd wody uwolni brzegi od napływowej lub urodzajnej ziemi, przez którą nacie bardzo trudno jest się przecisnąć, najlepiej poszukiwania czynić; i często mi się zdarzyło wśród tych warunków nieznanne ślady nafty znaleźć, mianowicie w roku 1867, obfitym w deszcze.

Nafta, jeżeli w znacznej ilości na wodę się wydobywa, a woda jest stojącą, tworzy na niej pokład tłuszczu ciemnego; wtedy wprost z tej powierzchni zbieraną być może. Zbieranie zaś uskutecznia się za pomocą gałazki, pióra, trawy i t. p., którym to ciałom naftę w nie wpitą przez wyciśnienie się odbiera. Gdy atoli nafta wypływa w małej ilości na wodę, lub jeżeli woda szybko płynie, natenczas śladu tylko w jasny dzień szukać należy, ponieważ najcieńsza nawet powłoka nafty przy słońcu tęcze kolory wydaje. Lecz trzeba być ostrożnym w odróżnianiu nafty od rdzawki, znajdującej się często na stojącej wodzie. Rdzawka, prócz różnicy połysku, któren w niej jest metaliczny, gdy przy nacie jest tłusty, pokazuje wielką różnicę w rozdzielnosci. Kiedy rdzawka po roztrąceniu w same drobne łuszcзки się rozpada, ciągnie się nafta za roztrącającem ją ciałem, i skupia się po usunięciu przeszkody do połączenia.

Kto raz próbę pod tym względem w naczyniu, chociażby z destylowaną naftą przeprowadził, ten nigdy w osądzeniu śladu nafty w wątpliwości pozostać nie może.

Kto chce czynić poszukiwania, winien się zaopatrzyć w łopatę, kilof i zaostrzoną sztabę żelaza. Z temi narzędziami idzie się do góry wodą, podważa większe kamienie, porusza łopatą ziemię lub rumowisko w wodzie, wpycha sztabę jak najgłębiej, i patrzy, czy na powierzchni wody nie wystąpią oczka, jakby pawie pióra, tęczowego koloru, które zaraz po wystąpieniu na powierzchnię się rozplywają.

Inną wskazówkę do poszukiwań stanowią wypaleniska. Są to miejsca zwykle na polach suchych, albo pagórkach, gdzie się po najlepszej nawet uprawie nic nie urodzi. Tam posiane zboże zejdzie na wiosnę jak najładniej, lecz kiedy tylko promienie słońca działać zaczną, żółknieją rośliny, a na polu pozostaje ziemia rozsypana, jakby spalona, podobna do popiołu. Takie wypaleniska mają stopę, a najwięcej kwadratowy sążeń rozległości, i z daleka na polu spostrzedz się dają. Najlepiej w takim miejscu wykopać dołek i wodą go napęlić; jeżeli gazy naftowe są silne, to woda wrzeć zacznie. Wszelakoż wypaleniska te odróżnić należy od miejsc więcej na działanie słońca wystawionych i mocno nachylonych, z których deszcze urodzajną ziemię splukując, czynią je nieurodzajnymi. Jeszcze jednym śladem są pokłady asfaltowe. Tworzą one na większej przestrzeni ziemię czarną nieurodzajną, na ogniu palącą się i wydającą zapach węgla lub nafty.

Każdy właściciel ziemi powinien wszystkie na jego gruncie znajdujące się ślady nafty jak najstaranniej zbadać, co tem więcej polecić można trudniącym się poszukiwaniem tejże. Im zaś więcej powierzchniowych śladów, tem łatwiejsze są poszukiwania właściwe czyli ściśle, tem większa pewność związku warstw naftodajnych, ich szlachetności czyli jakości, i tem racjonalniej wyzyskiwanie tego produktu da się urządzić. Im większa ilość danych, tem większa pewność w kombinacjach.

Czy atoli ślady nafty są do poszukiwań wystarczające, to jest, czy dają pewność znalezienia odpowiedniej ilości materiału kopalnianego, to znowu rzecz inna.



Ślady nafty uważać należy niejako tylko za skazówkę, iż nie jest niedorzecznością ryzykować kapitał na kopanie; wskazują one trop, po którym może do celu dojść można, ale nie dają pewności, że tam gdzie są ślady, i ilość nafty być musi, jak to najczęściej mniemają.

Po wyczerpięciu wszystkich skazówek powierzchniowych, głównie zbadać wypada układ warstw i ich gatunek. Aby osobom nieobznajomionym z umiejętnością geognozyi wytłumaczyć wpływ ustroju podziemnego na kopalnictwo nafty, przytoczę pobieżnie niektóre wiadomości z nauki górnictwa:

Kamienie czyli skały nie są w nieładzie pod ziemią porzsypywane, tylko podlegają w układzie pewnym regulom, których badaniem kaźden w łonie ziemi skarbów szukający trudnić się powinien.

Kto kiedykolwiek nad głębokiem korytem rzeki wysoko upiętrzone skały widział i nad ich składem się zastanowił, dostrzegł niezawodnie wielką regularność w układzie tychże. Kamienie tam są, jakby ręką ludzką ułożone, mają pewne jednostajne nachylenie, a w ogóle system w swoim rozpołożeniu. Układ nie rozciąga się jedynie na odsłonięty kawałek, bo kopiąc około tych kamieni w którymkolwiek kierunku spostrzeglibyśmy, iż to same nachylenie, te same kamienie, na kilka lub kilkanaście mil jak najregularniej się rozciągają.

Takie skały, jakby kartki u książki poukładane, jeżeli są pochodzenia wodnego, nazywamy ulawiconemi, uwarstwowanemi, a jedną część, warstwą czyli ławą.

Wszystkie skały i kamienie ulawicone, jakie w Karpatach prawie wszędzie znajdujemy, zostały z wody osadzone. Podobny proces tworzenia spostrzegać się daje po dziś dzień w stawach, jeziorach i morzach.

Ponieważ wszystkie ciała w wodzie pionowo spadają, więc musiały wszystkie warstwy z wody powstałe pierwiastkowo poziome mieć położenie. Jeżeli zatem które z nich są nachylone, musiała jakaś przyczyna wyprzeć je z ich pierwiastkowego położenia. Tą przyczyną było prawdopodobnie roztopione wnętrze ziemi.

Podług kąta nachylenia warstw, ich kierunku i rozpołożenia między sobą, można powziąć dokładne wyobrażenie o ustroju skorupy ziemi, co jest pierwszym zadaniem górnika przed rozpoczęciem poszukiwań mineralów.

Kartę, która nam przecięcie skorupy ziemi daje i rozpołożenie warstw wyjaśnia, zowieśmy kartą geognostyczną.

Głównemi materyałami, z których się nasza tak zwana trzeciorzędna formacja karpacka składa, są: iły czyli łupki i piaskowce. Pomiędzy wapienie i inne warstwy, które wprowadzić natrafiamy, lecz które w związku z naftą nie zostają.

Zbadajmy teraz dwa główne materyały, ich charakterystykę i związek z naftą, a dojdziemy do sposobu, którym ów drogocenny dla kraju naszego produkt górniczy najlepiej poszukiwanym i wydobywanym być może.

---

## Korespondencya Reformy.

Lwów, 28 lutego 1869.

Spokój zupełny w świecie politycznym, odkąd sprawę wschodnią raz jeszcze zażegnano. Ztąd kłopot niemały dla dziennikarzy, którzy chciwą wrażeń publiczność muszą zabawiać i donosić jej o rzeczach ciekawych, choćby się nie wydarzyło nic ciekawego.

W czasach takiego braku nowin dzienniki angielskie piszą artykuły o posuwaniu się Moskali w głąb Azji środkowej i o grożącym niebezpieczeństwie dla posiadłości W. Brytanii w Indya h. Dzienniki francuzkie polemizują z Prusami i zapowiadają rychłe starcie nad Renem; gazety niemieckie zajmują się kwestyami ekonomicznymi i prawniczemi; Katkow i jego koledzy zamieszczają korespondencye z Wilna o demonstracyach i z Warszawy o spiskach polskich; wiedeńskie dziennikarstwo zaś tworzy kombinacye nowego gabinetu, i prawi o ugodzie z Czechami, dowodząc, że ugodą tą jeszcze rychło nie nastąpi, a ministerstwo jeszcze długo się utrzyma.

Gdy w ten sposób publiczności zagraniczni zapelniają kolumny, nasze galicyjskie dzienniki także mają w zapasie gotowe artykuły



na czas takiej *saison morte*. Urzędowa „Gazeta Lwowska“ szczególną dawniej odznaczała się przezornością. W biurze redakcyi znajdował się zawsze fascykul złożony z samych korespondencyi z Bombaju, Kalkutty, Pondyezery, Kantonu i innych miejsc podobnych. Szacowny ten materyał układali współpracownicy „Gazety“ w wolnych chwilach. Jeżeli świeżych wiadomości brakło było zawsze w pogotowiu tyle a tyle kolumn lub wierszy „Bombaju“ i gazeta została zapełnioną.

Podobną funkcję miała w „Czasie“ — „programatologia“ — obecnie zaś rozprawy o katastrofie lub projekta w kwestyi propinacyjnej. — „Gazeta narodowa“ ma zamiast „Bombaju“ korespondencye z prowincyi „o księżach gr. kat. obrządku“ lub też otwiera „tekę kronikarza lwowskiego“. z którą wysła tego kronikarza na harce przeciw „organowi demokratycznemu“. Te harce staczane dość regularnie co niedziela, a czasem i w dniu powszednie „na ogólne żądanie“ — odbywają się według znanej taktyki „Gaz. Nar.“ Lecz nakoniec i „Dziennik lwowski“ odpowiedział „Gazecie“ podobnym tonem, jakim go napastowano od kilku miesięcy, a między innemi zarzucił właścicielowi „Gazety“, że w r. 1848 rzucił gromy potępienia na hr. Gołuchowskiego, w r. 1865 zaś i w latach następnych przedstawiał go jako zasłużonego patriotę, pracującego tylko dla dobra narodu.

Wywiązała się ztąd polemika na wielką rozrywkę publiki i wyszły na jaw rzeczy dla ogółu publiczności nieznane lub dawno zapomniane. „Gazeta narodowa“ trzymając się zasady: *si fecisti — nega* — zaprzeczyła owemu zarzutowi; — „Dziennik lwowski“ przystąpił do przeprowadzenia dowodu, przedrukowując artykuły „Gazety“ z r. 1848.

Wiedeńska „Debatte“ pisząc o tej polemice mówi: „Gdzie dwóch się sprzecza, tam wedle przysłowia trzeci zyskuje; — tu jednak trzeci traci, a tym trzecim jest — hr. Gołuchowski.“ Wiadomo czytelnikom naszym, że ciągłym zaprzeczaniem „Gazety Narodowej“ położono kres ogłoszeniem rozporządzeń byłego namiestnika, które jego działalność w r. 1848 w bardzo niekorzystnem przedstawiają świetle.

Dokumenta te wydrukowane sprawiły wielkie wrażenie, a boleśnie dotknęły tych, którzy byli szczerymi i bezwzględny

wielbicielami hr. Gołuchowskiego. Liczył zaś takich były namiestnik wielu na prowincyi, od czasu kiedy do niego z wszystkich stron kraju spieszyły deputacye z dyplomami honorowego obywatelstwa. Ludzie ci osobiwie doznali przykrego rozczarowania.

Nigdzie bowiem tak lekkomyślnie nie wydaje sądu opinia, a właściwie mówiąc głos większości głośniejszy, jak w Galicyi. Zamiast trzymając się zasady „*discite historiam exemplo monita*“ oceniać charakter mężów politycznych z ich całego życia a osobiwie z ich działania w ważnych, rozstrzygających chwilach dziejowych — przyzwyczajono się u nas sądzić z frazesów, a czasem z jednego frazesu, rzuconych w mowie uroczystej, przygotowanych i wystudjowanych zawczasu z obliczeniem efektu.

Otóż ci ludzie, którzy widzieli w hr. Gołuchowskim „gwiazdę narodu“, którzy w naiwności swej szeptali sobie do ucha, że hrabia nosi się z myślą restauracyi Polski, ci ludzie gniewają się, gdy teraz odsłonięto im prawdę historyczną.... A przecież powinni by pamiętać, że zbyt ciężko i zbyt drogo już opłacaliśmy naszą pochopność do ludzenia się pozorem.

Inni znów ubolewają nad niezgodą, a fejletonista „Wiadomości“ wystąpił z różeczką oliwną w ręku. Lecz dla miłości zgody nie można poświęcać obowiązku wyświecenia prawdy.

Zresztą polemika i ogłoszenie dokumentów odnoszących się do działalności hr. Gołuchowskiego w r. 1848 bynajmniej nie ubliża byłemu namiestnikowi. Ubliżającym było wprawdzie wyrażenie jakiego użyła „Gazeta Narodowa“ mówiąc, że zmieniła swe zdanie względem hr. G. tak, jak je zmieniła względem Pawlewicza i Rapackiego — a to dla tego, ponieważ postępowanie hrabiego zmieniło się na lepsze, jak znowu postępowanie Pawlewicza i Rapackiego zmieniło się na gorsze.

Lecz tłumaczenie to, które miało być obroną, było tylko skutkiem zbytniego uniesienia „Gazety Narodowej“, w którym to uniesieniu rzuciła na przeciwnika wszystko, co się jej nadarzyło i tak jak umiała.

Dla czegoż — zamiast zarzucać hrabiemu niestałość charakteru, jak to czyni „Gazeta“ — nie uznać po prostu, że hrabia postępował konsekwentnie zarówno w r. 1848, nakazując wydanie emigrantów Moskołom, jak w r. 1867 nakłaniając sejm do uchwa-



ły 2 marca, jak i w r. 1868, używając wszelkiego swego wpływu, aby przeszkodzić uchwaleniu rezolucyi. Hrabia jest wiernym sługą dynastyi, której zaufaniem się szczyci. Jako minister rozpoczął nową erę w dziejach państwa austriackiego dyplomem pałdźiernikowym, jako namiestnik położył około dobra prowincyi naszej niewątpliwe zasługi — lecz jako poseł znalazłszy się w keliży pomiędzy żądaniami narodu a wolą rządu, uległ tej ostatniej i doprowadził sejm do uchwały 2 marca, której skutki tak zgnębne wpłynęły na losy kraju i monarchii. Jednem słowem: jako poseł był hrabia tylko namiestnikiem.

Zdaniem naszym taki sąd o hr. Gołuchowskim jest wolnym zarówno od pochlebstwa jak od wszelkiej stronniczości. Pożyteczną dla kraju była a może będzie jeszcze działalność hrabiego jako namiestnika lub ministra. Lecz jeżeli wszędzie, gdzie życie parlamentarne od dawna istnieje, uznano słuszność zasady, że urzędnik nie może być posem — to tem mniej zdolnym jest jest urzędnik na kierownika i przywódcę reprezentacyi narodowej. Deak dlatego ma tak niezmierny wpływ i jest duszą większości węgierskiego sejmu, ponieważ nigdy nie przyjął żadnej rządowej posady i żadnej skazy w całym jego życiu nikt wykazać nie zdoła.

---

## Przegląd polityczny.

Sprawa rezolucyi Sejmu lwowskiego — pomimo wszelkich nadziei i chwilowej radości zwolenników polityki utylitarnej — coraz bardziej poczyną brać obrót niepomyślny. Na posiedzeniu z dnia 16 lutego uchwalił wprowadzić Rajchsrat przekazać ją Wydziałowi konstytucyjnemu, jednak br. Pratobevera, przewodniczący tegoż wydziału, zwołał go dopiero w tydzień po tej uchwałę, wypełniając pod tym względem tylko życzenie ministerstwa, które chciałoby jak najdłużej odwlec rozprawy nad rezolucją galicyjską. Donoszą nawet, że rząd zamierza wszelkich dolożyć starań, aby wnioski Sejmu lwowskiego na tej kadencji Rajchsratu nie przyszyły wcale pod obrady, co tem łatwiej mu się uda, ileż ministerstwo uzyska w tej sprawie poparcie większości niemieckiej i że w kwietniu ma nastąpić zaankuig-

cie Rajchsratu dla zwołania w maju sejmów krajowych. Położenie rzeczy, mianowicie w sprawie rezolucyi, bardzo trafnie i dobitnie skreśliła pragska „Correspondenz“ temi słowy: Ministerjum ustąpi co do rezolucyi tylko w rzeczach najmniej znaczących — niemiecka większość Rajchsratu jest ministeryalną a więc żadnych przeszkód stawiać nie będzie ministerstwu — Polacy zaś ustępują we wszystkim; tak w harmonii wszelkiej wszyscy raczej z tego korzyść mieć będą niżeli stanowisko autonomiczne Galicyi.

Dnia 9 z. m. zebrała się po raz ostatni konferencya paryzka. Hr. Walewski odczytał odpowiedź gabinetu ateńskiego. Konferencya przyjąwszy do wiadomości przystąpienie Grecyi do deklaracyi, ogłosiła, że się rozwiązuje polecając swojemu prezesowi podziękować obu rządów za przychylnie przyjęcie rad udzielonych przez konferencyę. Tak więc spór pomiędzy Grecyą a Turcyą został wprowadzić zażegnany, lecz przyjaciele pokoju w zażegnaniu tem nie znajdują wiele otuchy. Jak się Moskwa zapatruje na tę sprawę, to jawno i jasno, wypowiada „Gołos“, a tak jawno i jasno, że nie pozostawia nawet najmniejszego punktu do oparcia jakiegokolwiek illuzyi.

Powiada on wyraźnie, że „Krok rządu perskiego (rozumiejąc tu zatargi ostatnie Persyi z Turcyą, jest tylko posunięciem Rosyi na szachownicy przeciw pociągnięciu mocarstw zachodnich, gdyż wiadomo każdemu, że Turcyja wysyłając do Grecyi swoje ultimatum robiła wszystko tylko na komendę mocarstw zachodnich, które obrały na to chwilę, gdy Rosya ustąpić musiała, ponieważ flota jej była zamarzła a szyny kolejowe nie były jeszcze doprowadzone od Bałtyku do morza Czarnego.“ Zdaje się, iż stylowi temu niejasności zarzucić nie można. „Lecz i z innych stron — mówi dalej Gołos — nie ma wcale bezpieczeństwa dla Turcyi. Nie bez przyczyny zmienia się ministerjum w Rumunii raz po raz; nie bez przyczyny pogląda Wiedeń trwożliwie na Serbię — nie bez przyczyny nakoniec ma Grecya to przekonanie, że w walce z niewiernymi nie pozostanie osamotniona. W każdym razie jest tryumfalna radość mocarstw zachodnich przedwczesna; Rosya uzyskała czas i znajdzie sposobność odwetu za konferencyę.

Równocześnie prawie z otwartem oświadczeniem „Gołosa“ zjawił się telegram wysłany z berlińskiego biura korespondencyi Wolffa, tej treści, że



„wiadomość rozszerzona o nastąpić mającej dalszej redukcji wojska pruskiego była tylko skutkiem nieporozumienia i że w każdym razie redukcja armii nie jest rzeczą spodziewaną.“ Mały to punkcik, ale że słychać głos wszechmocnego ministra pruskiego; drobna chmurka, lecz zatrużyła ona wielbicieli pokoju tak rozradowanych zażegnaniem sporu grecko-tureckiego, jakby widmo złowrogie.

Zaledwie jednak załatwiono spór między Grecją a Turcją, inna kwestya poczęła niepokoić umysły świata finansowego. Tym nowym powodem wzniecającym obawę dłuższych zawikłań jest przyjęcie przez belgijską Izbę deputowanych ustawy o kolejach żelaznych, zabraniającej obecnym właścicielom sprzedaży ich bez zezwolenia rządu. Ministerstwo przedkładając projekt tej ustawy podniosło jako jeden z głównych powodów, przemawiających za przyjęciem, niebezpieczeństwo wynikające z nabycia krajowych kolei żelaznych przez towarzystwa zagraniczne, które na wypadek wojny, ulegając wpływowi obcych rządów, bardzo łatwo mogłyby używać tych dróg na korzyść mocarstw w tem interesowanych, a w czasie pokoju na korzyść obcego handlu. Krok ten rządu belgijskiego wymierzony przeciw francuzkiemu towarzystwu kolei de l' Est, które nabyło kolej belgijską du Grand Luxembourg, a raczej przeciw Francji — ogromne w Paryżu wywołało oburzenie. Osobliwie dziennikarstwo półrządowe z nader ostreми zarzutami wystąpiło przeciw gabinetowi brukselskiemu, pomawiając go nawet o uleganie wpływowi pruskim. Oburzenie to jeszcze bardziej się powiększyło na wiadomość o zatwierdzeniu przez senat belgijski uchwały Izby deputowanych. Aby złagodzić złe wrażenie, wywołane tą uchwałą we Francji, wręczył poseł belgijski p. Beyens margrabiemu de La Valette memoriał gabinetu brukselskiego, a nadto oświadczył w senacie belgijski prezes ministrów pan Frère-Orban, że do przedłożenia Izbie znanego projektu ustawy o kolejach żelaznych nie skłoniły rządu żadne pobudki polityczne. — Oświadczenie to jednak zimno przyjęła prasa francuzka.

Dnia 11 lutego otwarto Kortezy wśród ogólnego zapala i okrzyków. „Niech żyje waszechwładztwo narodu!“ „Niech żyje rzecz pospolita!“ Posiedzenie zagaił Serrano; w mowie swej podniósł on ważność zwycięstwa nowych idei, dokonanego po bolesnych walkach przez ostatnią rewolucję i wprowadzenia ich drogą ustawodawczą we wszystkie sfery życia politycznego i społecznego. Wielkie to zadanie spełnić mają Kortezy. Następnie tłumaczył mowca postępowanie rządu tymczasowego; przywódcy ruchu zmuszeni do walki z zwolennikami wypędzonej dynastji, nieraz energicznych

musieli używać środków dla zachowania spokoju; w tem właśnie — zdaniem mowcy — główna polega zasługa rządu, który pomimo radykalnej rewolucyi, jaką przeprowadził, zdołał zachować kraj od anarchii i utrzymać powagę władzy, dziś przechodzącej w ręce Korteżów.

Po tej mowie przystąpiono do wyboru prezesa i wiceprezesów. Prezesem wybrany został Rivero, wiceprezesami Vega-Armijo, Martos, Cantero i Valera. W pierwszych dniach zajęła się Izba sprawozdaniem wyborów; dnia 22 lutego ogłosił Rivero zgromadzenie Korteżów jako ukonstytuowane. Na tem samem posiedzeniu uchwaliła Izba na wniosek deputowanego Rios Rosas podziękowanie rządowi tymczasowemu i poleciła Serranie utworzenie ministerstwa.

Z Rzymu donoszą o zmianie w najwyższej instancyi wyroków, w sprawie oskarżonych o wysadzenie w powietrze koszar zuawów. Sacra consulta skazała Ajaniego i Luzzego na całe życie na galary; innym zmniejszono karę o jeden stopień, dwóch uznano za niewinnych.

Dnia 16 z. m. nastąpiło otwarcie angielskiego parlamentu.

## W domu obłąkanych,

przez

J. GORDONA.

(Dokończenie).

— Był tu także pewien szusowaty który wierzył iż jest żabą, do której zresztą miał wiele podobieństwa. Chciałbym, ażebyś go pan był widział (mówca miał się ku mnie), jak on się przejął zabiemi obyczajami. Łaskawco! że ten człowiek nie był rzeczywiście owem zwierzątkiem, to doprawdy wielka szkoda. Skrzeczenie jego bez mała takie miało brzmienie: O... o... o... gh...! o... o... o... gh! — słowem, najpiękniejsza melodia w świecie. A proszę go było widzieć, gdy łyknawszy parę kieliszków, podparł się łokciami na stole w ten sposób... rozdał policzki i zataczał oczyma n. p. tak... a potem mrugał, patrz pan, jak... otóż panie — mogę cię śmiało upewnić — żebyś się był zachwycił talentem tego niepospolitego męża.



— Nie wątpię, — odpowiedziałem.

— Był tu znowu jegomość, nazwiskiem Petit-Gaillard, który się miał za szczyptę tabaki i smucił się nieborak, iż się nie mógł wzięść we dwa palce, jak się bierze zwyczajnie niuch tabaki do nosa.

— Mieliśmy także pana Juliana, co był szczególniejszym geniuszem w swoim rodzaju, a pomieszał się biedaczysko na myśli, iż jest dynią. Naprzykrzał się tedy ustawicznie, aby go upiec w pasztecie, czem nasz kucharz gorszył się niesłychanie. Co do mnie, nie widzę, dla czego by pasztet z Julka nie miał być potrawą delikatną i smaczną w rzeczy samej?

— Pan mię zadziwiasz — rzekłem — rzuciwszy na Maillard'a pytające spojrzenie.

— Ha! ha! — rozśmiał się dyrektor — he! he!... hi! hi!... oh! oh!... hu! hu!... uff!! Wyborne... doprawdy, wysmienite! Ależ szanowany kolego, nie powinno cię to dziwić... ot, nasz przyjaciel jest sobie trochę gadulą, żartownisiem — i basta! nie trzeba brać dosłownie jego opowiadań.

— O! zawołał ktoś z towarzystwa — ze wszystkich osób, któreśmy tu znali, najdziwaczniejszym bez zaprzeczenia był pan Buffon — szaleniec z miłości! zdawało mu się, że miał dwie głowy; że jedna była cyceronską, druga złożoną z dwóch innych, mianowicie: z demostenesowskiej od czaszki do ust, i z lorda Byrona od ust do podbródka. Czy słyszeliście państwo gdzie coś podobnego?... Był w stanie każdego przekonać o prawdziwości twierdzenia swoją nadzwyczajną wymową; a gdy wpadł w oratorski zapał, wtedy wskoczywszy na stół....

Tutaj mówca gotował się do zamaszystego skoku, atoli sąsiad jego położywszy mu rękę na ramieniu, szepnął coś do ucha i tem go nagle uspokoił; a sam odezwał się do zgromadzenia:

— A cóż powiecie o naszym dobrym znajomym — Kostce? Nazwałem go kostką, gdyż w rzeczy samej miał mania, jakkolwiek dającą się usprawiedliwić, iż mniemał się być przemieniony w kostkę do grania. Można się było naśmiać do woli patrząc na wykręcającego się na pięcie... jak zaś ta rzecz się miała, zaraz państwu pokażę...

Tutaj sąsiad, któremu głos odebrano przed chwilą szepnięciem do ucha, oddał z kolei tę samą usługę rzecznikowi.

— Pański kostka był nieznośnym fiksatem! — wrzasnęła jakaś o szpakowatych włosach arcypanna, korzystając z chwili ogólnego milczenia — gdyż — mówiła — pozwól mi pan zapytać się, kto kiedy słyszał o podobnej metamorfozie? Pomyśl wcale niedorzeczny! Pani Joyeuse była osobą więcej racjonalną, jak wiadomo. Miała wprawdzie także swoje przywidzenie, bo któż jest bez ale? lecz jej przywidzenie pochodziło z natchnienia naturalnego — to zupełnie rzecz inna! — jej przywidzenie sprawiało przyjemność wszystkim, którzy szczyili się jej znajomością. Dociekła ona bowiem po długich badaniach siebie, że została przeistoczona w koguta. I właściwie mówiąc, jako kogut prowadziła się wzorowo. Trzepotała skrzydłami do podziwiania, a piała klasycznie: Ki... kiri... ki... i... i... i...! Ki... ki... ri... ki... i... i...

— Pani Joyeuse, racz pani przestać! — przerwał gospodarz z oburzeniem. — Jeżeli pani nie życzy sobie utrzymać się w granicach przyzwoitości, obowiązującej kobietę, to radziłbym stół nasz opuścić. Zostawiam jej do wyboru.

Dama (mianowana nazwiskiem tej samej osoby, której historię opowiadała) zaczerwieniła się po uszy i widocznie uczuła swe upokorzenie. Spuściła głowę nie rzekłszy ani słowa; lecz natomiast inna pochwyciła wątek rozmowy, i — o dziwy! — poznałem w tej ostatniej moją piękność w czepeczku koronkowym, co mię tak gościnnie przyjęła na wstępie.

— Och! — krzyknęła ona melancholicznie — pani Joyeuse była dziwaczką w całym znaczeniu tego wyrazu! lecz za to mieściło się zawsze dużo zdrowego sensu w zdaniach miłutkiej Eugenii. Była to sobie młoda osoba, bardzo piękna i przyzwoita, z minką smętną i skromną, która uważała zwyczaj ubierania się w ogóle za niedogodny i nie właściwy, i z tego powodu lubiła raczej wychodzić, że tak powiem, z sukien swoich, niżeli w nie wchodzić. Zresztą jest to łatwe do zrobienia. Zdejmuje się najprzód stanik..., następnie to... potem to... i na koniec...



— Ależ panno Eugenio! na miłość Boga, co pani czyni? — zowolalo na raz kilkanaście kobiecych głosów. Dosyć... dosyć! już wiemy jak się to robi...

I kilka pań odskoczyło od stołu, aby przeszkodzić pięknej swej koleżance do przedstawienia się zgromadzeniu w postaci Wener-y medycejskiej.

Aliści nagle hałas straszliwy istot ludzkich, podobny do wycia dzikich zwierząt, zaleciał do sali z kącieś z głębi zameczyska. Nieprzyjemnie oddziałal na me słabe nerwy — lecz współbiesiadnicy do tego stopnia się przelekli, iż mimowolnie uczulem dla nich politowanie. Nie trafiło mi się nigdy widzieć ludzi o tak zajętych sercach. Bladość chorobliwa pokryła ich lica; jakoś się pokurezyli na krzesłach, drżeli, bełkotali urywane słowa i zdawali się wsłuchiwać z trwogą, czy złowrózby hałas jeszcze się powtórzy.

Jakoż niebawem znowu dał się słyszeć i to mocniejszy od poprzedniego, uwydatniał się coraz bardziej, aż w końcu nie ulegalo wątpliwości, iż zbliżał się do sali. Potem nastąpiło milczenie.

Skoro na pozór uciszyła się burza, wesołe gawędy rozpoczęły się na nowo. Wtedy zapytałem o powód chwilowego zamieszania.

— Drobnostka — rzecze pan Maillard z przekąsem — przyzwyczajeni jesteście do tego. Oto obłąkani znajdujący się pod zamknięciem, wydają od czasu do czasu te wycia. Jeden zaraża drugiego! To tak się dzieje nie przymierzając, jak między psami w porze no-cnej; gdy który z nich zawyje, inne go naśladują. Zdarzało się, że waryaci spiknąwszy się, rozmyślnym wrzaskiem starali się zagłu-szyć usiłowania wydobyć się z pod klucza, to też nie dziwne-go że pewna obawa zakłóca nam niekiedy spokój pożądany.

— A iluż jest teraz pod zamknięciem?

— Obecnie sześć osób.

— Głównie kobiety?

— O! przeciwnie, sami mężczyźni, i do tego krzepcy i silni chłopacy — mogę pana upewnić.

— Jednakowoż słyszałem, że w szpitalach obłąkanych więk-szość składa się zawsze z płci niewieściej.

— Tak bywa najczęściej, ale nie zawsze. Nie dawno temu na dwudziestu siedmiu chorych mieliśmy tutaj osiemnaście nie-wiast; lecz dzisiaj rzecz ma się zupełnie inaczej.

— Tak... rzecz ma się zupełnie inaczej, jak pan widzisz — zagadnął jegomość, który tak lubił przegargać się z panną La-place.

— O, tak! ma się inaczej, jak pan widzisz — zawołało chórem towarzystwo.

— Powstrzymajcie wasze języki, wszyscy! czy słyszycie?! — ozwał się groźnie gospodarz do współbiesiadników.

Na to wezwanie nastąpiła grobowa cisza. Jedna z dam chcąc okazać najwyższe posłuszeństwo dla miejscowej władzy, wypełniła co dosłownie rozkaz, chwyciła się ręką za język — który dość długim mi się być wydał — i trzymała go z rezygnacją aż do końca obiadu.

— A owa panna — szepnąłem — owa wyborna osoba, która przed chwilą tak nam wdzięcznie zapiała kikiriki, jest, o ile mi się zdaje, nieszkodliwą? he!...

— Jakto nieszkodliwą? co pan przez to rozumie? zawołał p. Maillard z nieudanein zadziwieniem.

— Myślę — rzekłem, macając się po czole — że jest tylko lekko dotkniętą, nie prawdaż?...

Ależ na Bogn dobrodzieju! co pan w rzeczy samej sobie wyobrażasz? Dama, o której mowa, moja dawna i szczerza przyjaciółka, pani Joyeuse, ma umysł tak zdrowy jak mój własny. Że przy tem jest białogłową nieco ekscentryczną, nie przeczę; lecz, czyż wszystkie stare panny nie mają mniej więcej swoich stron drażliwych...

— Bez wątpienia — bez wątpienia. — A reszta tych pań i panów?...

— Wszyscy są memi przyjaciółmi i dozorcami w tym Zakładzie — doskonałymi przyjaciółmi i pomocnikami razem.

— Jakto? wszyscy pomocnikami? nie wyłączając kobiet?...

— Zaiste, nie. Cóżbyśmy mogli zrobić bez kobiet?... Są to najlepsze nadzorczynie waryatów; mają właściwy sposób postępowania z nimi; wzrok niewiast sprawia w ogóle cudowne skutki na opętanych... coś w rodzaju ubezwładniających spojrzeń węzowych.



— Zapewne, zapewne! — Wprawdzie postępowanie tych niewiast zakrawa trochę na dziwaczność, ale to jest cechą ich oryginalności, czyż nie tak?...

— Dziwaczne! — oryginalne! — podchwycił pan Maillard. Czyż to jest rzeczywiście myśl pańska? Proszę uwzględnić, że my, mieszkańcy południa dalecy jesteśmy od wszelkiej obludy, od wszelkiej hipokryzyi; lubimy zadowolniać nasze najdrobniejsze chętki, robić wszystko co nam się podoba, używać w pełni życia, i z tego powodu czasami nasze zwyczaje mogą się zdawać komu obcemu... pan to rozumie....

— Ale naturalnie — rzekłem — naturalnie!

Popijając rozmowę soternem, zwracaliśmy ją na różne przedmioty.

Towarzystwo szło za naszym przykładem — gwarzyło, żartował, śmiało się, a przytem wyrabiało figle.

Tymczasem grajki rzępolili na skrzypcach, bili w bębny, odzywały się ich trąby i waltornie — wyraźna kocia muzyka! a humory zebranych stawały się wydatniejszymi w miarę, jak wino nad mógzami roztaczało panowanie.

Pomimo całego hałasu przedłużałem gawędkę z panem Maillard'em. Musieliśmy wrzeszczeć do siebie, aby się zrozumieć, gdyż głos zwyczajny, tyleby był dosłyszany, ile pluśnięcie rybki przy huku Niagary.

— Doktorze! — zawołałem mu tedy nad uchem — mówiliście przed obiadem o niebezpieczeństwie dawniejszego systemu łagodności — jakież więc jest ono... to niebezpieczeństwo?

Cała rzecz — odrzekł — że trudno zdać sobie rachunek z kaprysów waryata, dla tego niebezpiecznie jest dozwolić mu spacerować swobodnie. Oblakany może być uśmierzonym na czas pewien, lecz zdarza się, iż powraca on do swego zatrważającego stanu. Zresztą chytróść jego tak jest wielką, iż zamieniła się w przysłowie. Niechno tylko waryat usnuje jaki projekt do wykonania, umie go ukryć pod płaszczykiem niesłychanej obludy; a zręczność z jaką naśladuje człowieka zdrowego na umyśle, przedstawia nauce filozofii szczególny objaw psychologiczny. Gdy zdaje się być całkowicie przy rozumie, jest czas — wierzaj mi kolego! — aby wdziąć na niego koszulę z długimi rękawami.

— Przepraszam dyrektora, lecz odstepujemy od materyi. Idzie bowiem o niebezpieczeństwo — o pierwotne nasze założenie. Otóż, czy w skutek długiego doświadczenia doszłiscie do przekonania, że tak powiem dotykalnego, materyalnego, iż system łagodności jest zgubnym w istocie?

— Najniezawodniej! Na przykład, nie dawno temu szczególna okoliczność zaszła w tym tutaj domu. Chorzy przechadzali się wówczas wolno. Nikt by był patrząc na nich nie przypuścił, że pod pozorem największego spokoju knują spisek piekielny. A jednakże tak się stało! Pewnego pięknego poranku dozorecy zostali napadnięci, skrępowani i wrzuceni do komórki, gdzie byli traktowani i strzeżeni jako waryaci przez tychże samych waryatów, co sobie przywłaszczyli czynność dozorców.

— Czy podobna! I coś podobnego mogło się zdarzyć w szpitalu szalonych!? Nigdy w życiu nie słyszałem o podobnej niedorzeczności.

— A jednakże jest ona faktem. Plan ten szatański wyłagł się w mózgu pewnego indywiduum, który nabił sobie głowę, że jest wynalazcą najdoskonalszego systemu rządzenia — rozumie się fiksatami. Chciał on zapewne zrobić doświadczenie tego wynalazku, pociągnął więc za sobą innych chorych do obalenia władzy miejscowej.

— Coś nadzwyczajnego! I to się udało?...

— W zupełności. Strażnicy i strzeżeni zamienili swe role, z tą różnicą, że waryaci zostali wolnymi, a ich dozorecy zamknięci do ciasnej klity, jakby do szuflady.

— Lecz trudno przypuścić, żeby ów stan mógł trwać był długo, żeby nie nastąpiła w przedce *contre* rewolucya. Bo cóżby na to powiedzieli sąsiedzi okoliczni, osoby odwiedzające Zakład? Uderzono by przeciez w dzwon trwogi.

— Daruj kolego, iż ci oświadczę, że właśnie jesteś pod tym względem w błędzie. Naczelnik powstańców swoją przenikliwością potrafił zaradzić wszystkiemu. Od chwili rokoszu nie przyjmował żadnych gości — z wyjątkiem jednego młodego *gentlemana*, którego zbyt naiwna fizyognomia nie wzbudzała żadnej obawy. Wpuścił on go w te mury jedynie dla urozmaicenia jednostajności zameczyska i dla własnej poniekąd rozrywki.



— No! no!... I długo też trwało panowanie waryatów?

— Przeszło tydzień; w ciągu którego to czasu — mogę pana upewnić — żywot ich był ciągłym balem, nie skąpili sobie niczego. Zrzucili stare, wytarte suknie, a przyodziali się jak na święta. Trafili do piwnicy zamkowej, która na szczęście tych wesolków była dobrze zaopatrzoną. Niektórzy z nich, babibozki, poczęli się zalecać....

Hałas i zgiełk niezwyčajny przerwały nagle opowiadanie. Był to hałas tej samej natury, który już poprzednio dał się słyszeć, lecz na ten raz straszliwe okrzyki i wycia zdawały się coraz bardziej przybliżać z dziedzińca.

— Przebóg! — zawołałem — czy nie szaleni wydobyli się z komórki?...

Maillard zbladł i zsiniał.

— To by było okropne — wyjąknął opuściwszy głowę.

Tymczasem kilofem czy młotem walono z podwórca do okienicy, okna drżały w osadzie, wypadały szyby, a przekleństwa rozlegały się w powietrzu. Wyraźnie kilku ludzi z herkulesową siłą zdobywało szturmem nasz salon.

A w salonie odbywała się straszna scena przerażenia i zamieszania.

Zdumiałem widząc, jak p. Maillard skoczył pod kredens, aby się schować. Nie spodziewałem się z jego strony tak mało odwagi, takiego tchórzostwa.

Grajki, którzy od kwadransa zaprzestali muzyki i kiwali się już pod wpływem upajającego nektaru, zerwawszy się na równe nogi zaczęli wycinać na swych instrumentach jakąś dziką nutę, przypominającą amerykańską zwrotkę: „*Yankee Doodle*“.

Ale otóż wśród najniezgodniejszych dźwięków tej orkiestry wskakuje na stół ów jegomość, którego już raz zaledwie powstrzymano, staje po bohatersku pomiędzy szeregi butelek i kieliszków, i prawi machając rękoma jakąś oracyę! Wnosząc z zapалу mówcy, oracya musiała być pełną namaszczenia, lecz nie można jej było dosłyszeć niestety w ogólnym zamęcie.

W tejże samej chwili pan Kostka począł wykręcać się na jednej nodze, potrącając wszystkich na około stołu.

Dał się także słyszeć wychodzący z kąta ogromny szum szampańskiego wina, połączony z pukaniem korków. Spojrzałem w tamtą stronę i dostrzegłem indywiduum, które tak dobrze odgrywało przy obiedzie rolę butelki.

Wkrótce też i człek-żaba skrzeczeć z całej siły zaczął, jak gdyby zbawienie jego duszy od tego zależało; — lecz najgłośniejszem ze wszystkiego było beczenie człeka-osła, rozlegające się po sali.

Trudno pominąć w orszaku i panią Joyeuse, która była niewymownie przełknięoną, a oparłszy się o kominek, wołała z rozpaczą na całe gardło: *kikirikiiii!*... Tego tylko brakowało

Lecz nie tu jeszcze ostatni akt dramatu. Ponieważ krzyki, beczenia i piania nie dawały żadnej obrony czynnej przeciw obłączeniu, dwa okna wkrótce przez napastników wyłamane zostały, i wyrzuciły się z brzękiem na posadzkę. Proszę sobie wyobrazić mój wstręt i oburzenie na widok wpadającej armii jakichś zgrzytających zębami potworów, które wzięłem z początku za gromadę orangutanów. Rozwścieklona ta szarańcza rozbijała, tłukła, kulakowała każdego, kto tylko się jej na drodze nawinał. Zabierałem się do wyjścia z tego pobojowiska, gdy olbrzymią pięścią potracił mnie jeden z napastników. Oburzenie moje nie miało granic, już gotowałem się do boksowania przeciwnika — atoli nagle myśl zdania sobie rachunku z tego co się dzieje uspokoiła mnie na chwilę. Stanąłem za filarem i z chłodną krwią wyczekiwałem końca tragedyi.

Jakoż rozwiązanie nastąpiło na szczęście. — Pokazało się, że Maillard opowiadając mi dzieje szpitala, mianowicie owego szalonego powstańca, który zbuntował innych, wyraził tylko swoją własną historję. Ten pan był rzeczywiście dawniej dyrektorem Zakładu, ale że zwaryował, pomieszczono go w liczbie chorych, których niegdyś sam leczył. Towarzysz mej podróży nie nie wiedząc o tem zdarzeniu, przedstawił mi jego osobie.

Ten sam pan Maillard, na tydzień przed mojem przybyciem, porozumiawszy się z bandą obłąkanych, powiązał prawdziwych dozorców szpitala, kazał ich posmarować smolą, oblepić pierzem i wrzucić do lochu. Karmiono tam biedaków wspianolomyslnie



chlebem i wodą, a przytem skrapiano każdodziennie za pomocą pompy — co wedle ex-dyrektora Zakładu miało być nowym systemem leczenia, najprostszym, najłatwiejszym i najskuteczniejszym.

Traf zrządził, że jeden z więźniów rozwikłał swe pęta — wydobył się przez kanał po na zewnątrz zameczyska, wezwał na pomoc kilku wieśniaków, oswobodził towarzyszy, a stanawszy na ich czele poskromił obłąkanych. Odebrano im władzę — lecz mego guza trudno mi było odebrać — dotąd noszę po nim pamiątkę. Kto temu nie wierzy, niech przyjedzie do Londynu, aby się naocznie o tem przekonać. Mieszkam przy ulicy *Gordon-street*, pod Nr. 5.

## Odezwa J. I. Kraszewskiego

(umieszczona w Dzienniku literackim).

Zamiast Was prosić o ogłoszenie otwarcia mojej drukarni, która dn. 16 lutego, starodawnym obyczajem poświęconą została, właściwsiem znajduję w Dzienniku literaturze poświęconym odezwać się słów kilka o powodach, które mnie ku temu skłoniły.

Byłem przygotowany na to, że ludzie w żart i to poważne przedsięwzięcie moje obrócić potrafią, jakkolwiek z bolesnych położzeń szydzić się nie godzi; przyjmę to spokojnie i pragnąłbym tylko, żeby przyjaciele moi jasno tę sprawę widzieli: — powiem więc bez sromu i wahania, że się chwycić musiał tej pracy i dla tego by dowieść, że żaden uczciwy trud nie poniża, i dla tego bym, zubożony wypadkami, chleba nie był winien nikomu tylko samemu sobie. Nie potrzebuję dodawać, że tak samobym się wziął do innego rękodziela, rzemiosła, zarobkowania, gdyby mi one również były przystępnymi. Nie wiele ufam przedsięwzięciu mojemu, bo dziś na poparcie kraju, na jego współczucie trudno rachować, ale sądziłem i sądzę, że uczciwy człowiek do ostatka walczyć i do ostatka być czynnym w zakresie sił swych jest obo-

wiązany. Z pomocą nie wielu przychylnych osób, otworzyliśmy drukarnię naszą w miejscu, gdzie wszystkie ulepszenia i ułatwienia są pod ręką, na rozstajach pomiędzy Wielkopolską, Galicyą i Królestwem, ufając więcej łasce bożej i energii własnej — niż poparciu ludzi. Chcielibyśmy pokazać literatom naszym, że i po trzydziestu ośmiu latach umysłowego trudu, można bez poniżenia się, bez fałszywego wstydu jąć się pracy mechanicznej, prozaicznej, nie wyrzekając się swej przeszłości, myśli i uczucia. Jeśli przykład nasz będzie zarazem przykładem nieudolności i upadku — i to się na coś przydać może.

Dla uniknienia fałszywych tłumaczeń musimy dodać, że drukarnia nie jest nakładową, że dzieł żadnych na swoją ręką wydawać nie mamy zamiaru, że przyjmujemy zamówienia tylko i spełniamy polecenia zgłaszających się do nas wydawców i autorów, a starać się będziemy wykonywać je jak najstaranniej i najsumienniej.

Przyjmiecie pozdrowienie braterskie.

Drezno, d. 19 lutego 1869.

*J. I. Kraszewski.*

---

Wydawca: *Karol Pollak.*

Odpowiedzialny za redakcyę: *Aleksander Krzyżanowski.*